№ 22 27 MAJA 1928

TREŚĆ:

CENA 30 GROSZY

PRZEŁOM

TYGODNIK · POLITYCZNY · ROK III

ZAGADNIENIA POLITYKI ZAGRANICZNEJ

W związku z dyskusją w komisji sejmowej nad budżetem Ministerstwa Spraw Zagranicznych p. minister August Zaleski wygłosił dłuższe przemówienie, poświęcone całokształtowi zagadnień polityki zagranicznej. Zagadnienia te — wywierające b. poważny wpływ na losy i rozwój Rzplitej — są naogół nieznane bliżej szerszemu ogółowi społeczeństwa. Doceniając wagę tych kwestyj i pragnąc choć w części przyczynić się do zainteresowania społeczeństwa polityką zagraniczną — zeszyt niniejszy „Przełomu“ poświęcamy głównie bliższemu omówieniu kilku aktualnych zagadnień z tej dziedziny.

REDAKCJA

Znamienna dyskusja

Ostatnie uchwały Rady Naczelnej Związku Naprawy Rzeczypospolitej wywołały żywy oddźwięk w naczelnych organach prasowych naszych stronnictw.

Rzecz dziwna. Uchwały te, będące niczem innem, jak tylko jednym z etapów systematycznego nawoływania demokratycznej części społeczeństwa do prowadzenia „własnej akcji konsolidacyjnej, mającej na celu stworzenie siły politycznej, zdolnej do normalnego kierownictwa sprawami państwa“ (uchwały R. N. Z. N. R. z dnia 6.I.1927) — zgodnie przyjęte zostały, zarówno przez lewą, jak też przez prawą część naszego życia politycznego, jako pewnego rodzaju rewelacja, jako coś, co rzuca nowe światło na zamierzenia i plany Związku Naprawy Rzeczypospolitej.

Pod wrażeniem tych uchwał p. Niedziałkowski pisze o „próbie odbudowy obozu postępowego“ — bezimienny publicysta „Gazety Warszawskiej“ straszy już swoich czytelników groźbą zarysowującej się „dość jednorodnej większości lewicowej, zdolnej do wytworzenia rządu, mającego oparcie w Sejmie“. Zarówno zaś jeden, jak drugi, widzą w uchwałach jakgdyby nawrót Z. N. R. z poprzednio zajmowanego stanowiska. Pan Niedziałkowski pisze o próbach zerwania „z podporządkowaniem się wielkiemu przemysłowi, wielkiemu rolnictwu, wielkiej finansjerze“, publicysta „Gazety Warszawskiej“—o zaniechaniu przez Z.N.R. propagandy haseł, mających uzasadnić społeczeństwu, że „nie jest potrzebna organizacja, że na nic się nie przydadzą programy i ideologja, że przyczyną wszystkiego złego są stronnictwa polityczne i że trzeba je jaknajprędzej wytępić“.

Czytelnik, któryby chciał wyciągać wnioski tylko z tych artykułów, musiałby więc dojść do wniosku, że oto w Z. N. R. dokonała się zasadnicza zmiana programu i taktyki, że uchwały ostatnie głoszą nowy program, pozostający w sprzeczności z poprzedniemi zamierzeniami kierowniczych czynników Z. N. R.

Tymczasem zachodzi tu zjawisko zupełnie innego rodzaju. Gdyby ktoś zadał sobie trud porównania wszystkich uchwał Rady Naczelnej Z. N. R., to we wszystkich znajdzie jeden i ten sam ton, ten właśnie, który w ostatnich jej uchwałach przebija równie wyraźnie, jak przebijał we wszystkich poprzednich: uznanie konieczności oparcia przyszłości Państwa na zorganizowanych politycznie siłach demokracji polskiej. Cóż się więc zmieniło? — Oto tylko to, że nareszcie, zarówno z prawej, jak z lewej strony, uznano, że nie można Z. N. R. zwalczyć zbyt łatwą metodą podsuwania mu haseł, których nie głosił, zamierzeń, których nie przejawiał.

Nie Z. N. R., ale p. Niedziałkowski jest twórcą teorji „o podporządkowaniu się Z. N. R. wielkiemu przemysłowi“, czy innym tego rodzaju czynnikom. Nie Z. N. R., ale p. Niedziałkowski zwiastował zgon tego obozu, który dziś, jakoby, Z. N. R. próbuje odbudować. Tak samo nie Z. N. R., ale „Gazeta Warszawska“ próbowała nam wmawiać, że propagujemy hasła zbyteczności „organizacji“, „programów“,

„ideologji“. I dziś więc nie Z. N. R. zmienił swoje stanowisko w stosunku do potrzeb naszego życia politycznego, ale panowie publicyści z niechętnych nam obozów zmuszeni byli zmienić swoją metodę traktowania Z. N. R.: po raz pierwszy *przeczytali oni* nasze uchwały i po raz pierwszy dyskutują z naszemi uchwałami, a nie z własnemi legendami, za które my nie możemy, nie chcemy i nie potrzebujemy przyjmować odpowiedzialności.

* * *

Podobnie jednak, jak nie możemy przyjmować odpowiedzialności za wszystko, co nam starano się wmówić w okresie poprzednim, tak też musimy się zastrzec przeciwko niektórym twierdzeniom, które w obecnej dyskusji wysuwa się z kolei na miejsce owych rozproszonych legend, a które w dalszym ciągu, choć w mniejszym stopniu, przyczynić się mają do zaciemnienia ideowego oblicza Związku Naprawy Rzeczypospolitej.

Z p. M. Niedziałkowskim polemizujemy nie po raz pierwszy. Niejednokrotnie już, w czasie akcji wyborczej, w artykułach pod jego adresem zwróconych, uzasadnialiśmy między innemi nasz stosunek do koncepcji Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem, tłumaczyliśmy, że w Bloku tym nie można doszukiwać się próby uzgodnienia na dłuższą metę haseł i programów socjalnych, że ma on natomiast inną, trwałą i nie przemijającą wartość: uznanie zasady, że nawet rozbieżne społecznie czynniki winny się zejść na wspólnym gruncie, gdy tego będzie wymagał interes państwowy i że w chwili obecnej tym cementem, łączącym w jednej formacji *wyborczej i sejmowej* czynniki demokratyczne i konserwatywne Bloku, jest wspólne uznanie wielkiej i niezakończonej jeszcze roli Marszałka Piłsudskiego w Polsce.

Na tem tle zarówno nasze pozostawanie w Bloku, jak też i uchwały Rady Naczelnej Z. N. R. o konsolidacji demokratycznych czynników społeczeństwa — są wynikiem planowej i świadomej celów linji postępowania. Stąd też stwarzanie nowych legend o rzekomym „buncie“ pewnych czynników Bloku, o chęci zatrzymania się ich „u progu takiego stanu, który nazwać trzeba byłoby zupełną i ostateczną kapitulacją, zupełnem i ostatecznem wywieszeniem białej chorągwi“ — jest conajmniej bezprzedmiotowe. Tego rodzaju koncepcje znowu wynikają z poglądów, jakie w stosunku do naszego udziału w Bezp. Bloku głosił p. Niedziałkowski, lecz nie ze sposobu, w jaki do tego samego zagadnienia od początku ustosunkował się Z. N. R. Myśmy zawsze mieli jasną świadomość, do czego nas pozostawanie w Bezp. Bloku obowiązuje i gdzie się kończy zakres ograniczenia naszej swobody. I stąd wszelkie wersje o rzekomych „buntach“ i o rzekomem zatrzymaniu się „przed ostateczną kapitulacją“ są znowu niczem więcej, jak tylko jeszcze jedną próbą zawiłego uzasadnienia i wyjaśnienia rzeczy, które z natury swej są proste i zbytecznych komentarzy nie wymagają.

Przeciwnie znów publicysta „Gazety Warszawskiej“ upraszcza sobie dowolnie sytuację, zapowiadając powstawanie nowego stronnictwa, „pokrewnego z ducha radykałom francuskim (którzy są, jak powszechnie wiadomo, polityczną reprezentacją lóż wolno-mularskich“). Na miejsce dawnej legendy o walce Z. N. R. z zasadą „organizowania społeczeństwa“ próbuje się przemycić nową — o tworzeniu radykalno-„masońskiego“ stronnictwa.

* * *

Nie będziemy dłużej zatrzymywali się nad temi odgłosami prasowemi podanych niżej uchwał ostatniego posiedzenia Rady Naczelnej Z. N. R. Z zadowoleniem stwierdzić należy, iż mimo wszystko uchwały te spotkały się z omówieniem o wiele szerszem i znacznie bardziej odpowiadającem ich istotnej treści, niżeli było to udziałem innych, dawniejszych uchwał tej samej naczelnej instytucji Z. N. R.

Jest to już ogromny krok naprzód. Mamy nadzieję, iż nie będzie on ostatnim i że stopniowo dyskusja ze Związkiem Naprawy będzie coraz bardziej schodziła na tory istotne i że nasi przeciwnicy prasowi czy polityczni zechcą nadal zwracać coraz więcej uwagę na to, by w polemikach dyskutować naprawdę z poglądami Z. N. R., wyrażonemi w jego publicznych wypowiedzeniach, a nie z temi, które ktoś inny za Z. N. R. zechciał wypowiedzieć i światu do wiadomości podać.

* * *

Do rzędu legend o Z. N. R. należy także legenda, również poza Związkiem Naprawy stworzona, o rzekomej walce z ustrojem parlamentarnym. Sądzimy, iż nadejdzie moment, w którym znów ktoś zdziwi się, dokonawszy odkrycia, iż podobnie jak w stosunku do zagadnienia organizacji społeczeństwa tak w stosunku do zagadnienia powagi Sejmu — wszystkie miarodajne wystąpienia Z. N. R. zawsze zajmowały jasne i określone stanowisko: zawsze głosiły zasady, iż wprawdzie w myśl zasadniczych wymagań interesu państwowego Sejm nasz winien zrezygnować na rzecz władzy wykonawczej z części swych przywilejów, lecz równocześnie ma on prawo i obowiązek strzec swej powagi.

A szkoda jednak, jeżeli to „odkrycie“ nastąpi zbyt późno. Przebieg obecny prac sejmowych jest tego rodzaju, że zrozumienie głoszonej przez nas zasady, że ludzie rozsądni, którzy pragną ocalenia i uzdrowienia parlamentaryzmu polskiego, winni w tym okresie zrobić cały użytek ze swego rozsądku — nie powinno nazbyt się odwlekać. To też sądzimy, iż nie jest rzeczą zbyteczną — w momencie rozpraszania innych narzucanych nam systematycznie legend — wspomnieć i o tem zagadnieniu, które jest, niewątpliwie, jednem z podstawowych zagadnień dzisiejszego dnia politycznego Polski.

Bolesław Srocki

Z Rady Naczelnej Z. N. R.

Dnia 18 maja r. b. odbyło się posiedzenie Rady Naczelnej Z. N. R. przy udziale członków Rady ob. ob.: prezesa St. Bukowieckiego, W. Fabierkiewicza, B. Gawlika, St. Groniowskiego, posła K. Kierzkowskiego, dr. R. Konkiewicza z Poznania, pos. Zdzisława Lęchnickiego, St. J. Paprockiego, dr. M. Rettingera, sen. W. Romana, pos. B. Srockiego, pos. J. Stypińskiego, red. J. Szuriga, W. Szuriga, pos. R. Tomczaka, prof. T. Wałka-Czerneckiego i pos. G. Zielińskiego, zaproszonych posłów i senatorów Wł. Kamińskiego, Fel. Lechnickiego, P. Olcwińskiego, J. Siwca, Edw. Taurogińskiego, R. Wodzińskiego, Br. Wojciechowskiego. Członek Rady pos. Zdz. Stroński usprawiedliwił swą nieobecność listownie. Obradom przewodniczył poseł Zdzisław Lechnicki. Referat na temat form organizowania społeczeństwa wygłosił pos. Bolesław Srocki, poczem rozwinęła się ożywiona dyskusja, w wyniku której powzięto m. inn. następującą uchwałę:

1) „Stojąc na stanowisku uchwały z dn. 26 marca r. b., uznającej celowość zachowania w obecnych warunkach politycznych i gospodarczych całości klubu parlamentarnego posłów i senatorów B. B. W. z Rz., oraz uważając

za pożyteczne powołanie do życia grup regjonalnych posłów i senatorów B. B., jako zespołów, ustalających program prac państwowych, samorządowych i społeczno-gospodarczych na określonych obszarach i przyczyniających się do jego realizacji—Rada Naczelna Z. N. R. uważa, że jednem z najważniejszych zagadnień politycznych chwili bieżącej jest zagadnienie organizowania społeczeństwa, które przedewszystkiem poczuwać się powinno do odpowiedzialności za losy Państwa i Narodu.

Organizowanie to winno się odbywać pod hasłem ogniskowania wysiłków, zmierzających do realizowania wielkiego programu oparcia potęgi państwowej Polski na dojrzałości politycznej społeczeństwa, stanowiącej podstawę dla prac ciał ustawodawczych oraz rządu, opartego o wzmocniony konstytucyjnie autorytet Prezydenta Rzeczypospolitej. Wysiłki te, zgodnie z najistotniejszym interesem Państwa, winny się opierać na ideologji społecznej, będącej wykładnikiem dążeń i potrzeb najszerszych mas ludowych, robotniczych i pracowniczych.

Jednocześnie w stałem dążeniu do scalania wszystkich zdolnych do porozumienia i współpracy czynników demokracji polskiej w ramach jednolitego zwartego obozu, któryby umiał należycie wypełniać swoją rolę wychowawczą wobec społeczeństwa i stał się mocnem oparciem w realizacji programowych haseł Marszałka Piłsudskiego—Rada Naczelna Z. N. R. upoważnia Egzekutywę Naczelną do wystąpienia z inicjatywą konsolidacji istniejących grup demokratycznych, zbliżonych programowo do Z. N. R., przedewszystkiem zaś Partji Pracy, N. P. R.-Lewicy i grup ludowych Bezp. Bloku Współpr. z Rządem“.

Pod znakiem oficjalnego pacyfizmu

Okres, który nastąpił bezpośrednio po wojnie, przyzwyczaił nas do sensacyjnych posunięć na szachownicy międzynarodowej. Konferencje, zjazdy, nieoczekiwane spotkania, głośne obrady, propozycje zmierzające do przekształcenia od jednego zamachu całego dotychczasowego ustroju międzynarodowego, szybkie ewolucje stosunków na terenie dyplomatycznym, gwałtowne zmiany w układzie sił, kalejdoskopiczna nieomal zmienność konjunktur — wszystko to powodowało wielką intensywność i natężenie życia międzynarodowego, nadawało polityce zagranicznej nieznane jej dotąd tempo rozwojowe. Dziś, jakkolwiek nie weszliśmy jeszcze w okres stabilizacji, jakkolwiek ewolucja stosunków w kierunku, który ze względu na współzależność gospodarczą państw zarysował się z nieubłaganą koniecznością nieomal od chwili zawarcia traktatów powojennych, trwa jeszcze nadal — to jednak film dyplomatyczny rozwija się już w znacznie zwolnionem tempie.

Z „placu publicznego“ gra przeniosła się za kulisy, do ustronnych gabinetów ministerjalnych, idzie jednak wciąż o bardzo grube stawki, dotąd jeszcze nierozegrane.

W ostatnich miesiącach na rynku międzynarodowym nastąpił jakby chwilowy zastój. Rok 1928 jest rokiem wyborów. Zagadnienia polityki wewnętrznej wysunęły się na plan pierwszy, wyciskając nawet czasem swe piętno i na stosunkach międzypaństwowych. *Exemplum:* „rozmowy“ Briand-Kellogg i wszystko, co z nich wynikło. Projekt paktu anty-wojennego Kellogga, który omawiamy oddzielnie — jest w tej chwili jedyną „sensacyjną“ sprawę na „tapecie“ dyplomatycznej. Mimo, iż początkowo projekt paktu należał do rzędu sztuk „montowanych“ dla galerji światowej i że zaliczać go należy w dalszym ciągu nie do repertuaru polityki międzynarodowej, lecz raczej do rekwizytów „gestologji“ pacyfistycznej — nabrał on dziś jednak pewnych cech zupełnie niepożądanych i mogących mieć dość nieoczekiwane konsekwencje. Minister Zaleski, wysuwając w swem niedawnem *exposé* znane zastrzeżenia wobec projektu p. Kellogga, stanął na gruncie realnego interesu pokoju w Europie, opartego na pakcie Ligi Narodów i poszanowaniu zasadniczych tez traktatów powojennych.

* * *

Polityka międzynarodowa pozostaje w dalszym ciągu pod znakiem oficjalnego pacyfizmu. Wynurzenia odpowiedzialnych kierunków polityki zagranicznej poszczególnych państw brzmią apostolsko: Pokój, pokój ludom dobrej woli... na ziemi i na morzu... Ludy złej woli (tak wyraźnie nie mówi się) nawrócimy przykładem... Jedynie p. Stresemann zapomniał się na chwilę przed paru tygodniami i wypadł ze swej roli niemieckiego anioła pokoju (czy raczej— anioła pokoju niemieckiego), czem wywołał zresztą na Zachodzie zgorszone „zdziwienie“.

Polska polityka zagraniczna, pozostając w zupełnej harmonji z oficjalnemi tendencjami dyplomacji światowej, potrafiła od lat dwóch, t. j. od chwili ujęcia steru rządów przez Marszałka Piłsudskiego, odróżniać ziarno pokoju od plewów frazesu pacyfistycznego, który w okresie, poprzedzającym bezpośrednio przewrót majowy, stał się, niestety, „treścią“ polityki ulicy Wierzbowej.

Żaden kraj nie odczuwa bardziej od Polski potrzeby pokoju, żadne państwo nie jest bardziej od nas zainteresowane w jego utrzymaniu, utrwaleniu i zabezpieczeniu. Ale właśnie dlatego nie możemy przyczynić się w niczem do stwarzania fikcyj i pozorów bezpieczeństwa, gdyż kryją one w sobie największą groźbę dla pokoju. Dla zagwarantowania pokoju powszechnego czynimy od maja roku 1926 na wszystkich polach — czy to w Genewie, czy przedewszystkiem w układaniu stosunków z naszymi sąsiadami— wielkie wysiłki twórcze. Okazujemy umiar, rozwagę, cierpliwość, nie dając równocześnie w niczem uchybić naszej godności państwowej i podnosząc, przez ustalenie wyraźnych dyrektyw i stabilizację kursu naszej polityki zagranicznej — *prestige* i powagę Rzeczypospolitej. Umacniając coraz bardziej naszą pozycję zewnętrzną, likwidujemy tem samem ostatecznie „płynność“ stosunków międzynarodowych w Europie środkowo-wschodniej i pracujemy na rzecz utrwalenia pokoju w tej części kontynentu.

Osiągnięte w tej dziedzinie od lat dwu, nie obliczone na efekt, lecz istotne i trwałe sukcesy przypisać należy przedewszystkiem jednolitości kierownictwa w polityce ogólnopaństwowej i zagranicznej: jak wiadomo bowiem, Marszałek Piłsudski interesuje się specjalnie blisko polityką zewnętrzną. Czy nie należałoby z tego stanu rzeczy wysnuć pewnych wniosków na przyszłość i zastrzec konstytucyjnie Prezydentowi Rzeczypospolitej decydujący głos w tych sprawach?

J. S.

Na marginesie rokowań polsko-litewskich

Polska nie czyha na niepodległość Litwy, lecz jest istotnie zainteresowana w istnieniu niepodległego państwa litewskiego, a walkę z narodem litewskim uważała zawsze za walkę bratobójczą.

Rozpoczęte w Królewcu rokowania polsko-litewskie toczą się dalej dzięki niezwykłej cierpliwości i konsekwencji, z jaką rząd polski, po przełamaniu uporu litewskiego w Genewie, odnosi się do tej sprawy. W dniu 12 maja zakończyła w Kownie wstępne prace komisja bezpieczeństwa i rozrachunku, odkładając dalsze posiedzenia do drugiej połowy czerwca, ze względu na wyjazd do Londynu, a potem do Genewy prof. Woldemarasa i przewodniczącego ze strony litewskiej p. Balutisa. Obecnie obraduje w Warszawie komisja do spraw gospodarczych i tranzytu, a w Berlinie—komisja do spraw prawniczych i lokalnego ruchu granicznego.

Nie może być dzisiaj mowy o stawianiu jakichkolwiek horoskopów co do dalszego przebiegu rokowań i ich rezultatu. Narazie wszystko idzie dość normalnie. Są to jednak dopiero wstępne rozmowy, zaznajamianie się z projektami, badanie pretensyj.

Odrzucenie przez Litwinów naszego projektu paktu bezpieczeństwa i zapowiedź przedstawienia przez rząd kowieński własnego projektu, pozwoli niewątpliwie Litwinom na przewlekanie prac w komisji bezpieczeństwa. Należy jednak zdać sobie sprawę, w jak trudnem położeniu jest w tym wypadku rząd litewski. Pakt o nieagresji w połączeniu z umową arbitrażową pociąga za sobą z konieczności faktyczne ustalenie obecnej granicy polsko-litewskiej. Wystarczy choć powierzchowne zorjentowanie się w wewnętrznej sytuacji politycznej Litwy, aby uświadomić sobie całą trudność rozwiązania tego zagadnienia w szybkiem tempie. Natomiast poważnym krokiem naprzód w likwidowaniu bezsensownych i wysoce niekulturalnych obecnych stosunków polsko-litewskich byłoby rozstrzygnięcie pozytywne spraw tranzytu i komunikacji. Wydaje nam się, że tu należy spodziewać się pierwszych pozytywnych wyników, gdyż te sprawy mają największe bezpośrednie znaczenie praktyczne. Należy przytem podkreślić, że zniesienie chińskiego muru, oddzielającego Polskę od Litwy, i otwarcie ruchu tranzytowego przez terytorjum Litwy, i Wileńszczyzny ma poważne gospodarcze znaczenie nietylko dla obu zainteresowanych państw, lecz i dla państw sąsiednich, jak Łotwa, Niemcy i Sowiety.

Brak narazie jakichkolwiek pozytywnych rezultatów dotychczasowych rokowań z Litwą nie zmienia jednak faktu o olbrzymiej doniosłości politycznej, jakim jest już samo nawiązanie bezpośrednich rozmów z Litwinami. Pierwszorzędne znaczenie dla kształtowania się naszych wzajemnych stosunków, dla wzajemnego bliższego poznania się i zrozumienia ma zwłaszcza okoliczność, iż z trzech komisyj dwie pracują nie na obcym terenie neutralnym, lecz w Kownie i w Warszawie.

Przedstawiciele republiki litewskiej, goszczący od kilku dni w naszej stolicy, będą musieli odczuć rzeczywiste nastroje społeczeństwa polskiego i wyzbyć się tej nieufności do nas, jaka zakorzeniła się po tamtej stronie kordonu granicznego. Wbrew temu wszystkiemu, co się mówi i prawdopodobnie będzie jeszcze mówiło w Kownie w oficjalnych enuncjacjach, każdy Litwin opuści Warszawę niewątpliwie z tem wewnętrznem przekonaniem, że Polska nie czyha na niepodległość Litwy, lecz jest *istotnie zainteresowana w istnieniu niepodległego państwa litewskiego i że walkę z narodem litewskim uważała zawsze za walkę bratobójczą.* Pod tym względem stanowisko społeczeństwa polskiego nie różni się od poglądów, wyrażanych przez polskie czynniki miarodajne. Społeczeństwo nasze w dużej mierze myśli już dzisiaj kategorjami państwowemi i najbardziej nawet bolesne terytorjalne zagadnienia narodowościowe, istniejące na krańcach Polski etnograficznej, nie mogą już dziś wyrastać do rozmiarów, przysłaniających sobą wielkie cele i zadania polskiej państwowej racji stanu.

Z dużo trudniejszym terenem obserwacyjnym spotyka się Polak, przyjeżdżający dziś do Kowna. Naród litewski daleki jest jeszcze od myślenia kategorjami państwowemi. Niestety i oficjalna polityka rządu litewskiego nierzadko zdradza brak konkretnych wytycznych jakiejkolwiek racji państwowej. W dzisiejszej Litwie zagadnienie litewskiej narodowości dominuje nad zagadnieniem państwowości. Litwini, budując swoje własne państwo, stawiają jednocześnie zręby litewszczyzny. I walka o ugruntowanie narodowości litewskiej wysuwa się w ich pracy na plan pierwszy. Litwini traktują wszystkie sprawy nie ze stanowiska najbliższego interesu państwa, lecz ze stanowiska kondensowania i wzmocnienia narodu. Za najbardziej niebezpiecznych swych wrogów uważają nie tych, którzy mogą zagrażać istnieniu niepodległego państwa litewskiego, lecz tych, którzy swą siłą asymilacyjną mogą zagrażać odrębności narodu litewskiego. Nie dobro państwa, lecz dobro narodu stawiane jest na pierwszem miejscu. I dlatego nie zawsze jest jasnem, czy Litwie dzisiejszej więcej zależy na odzyskaniu polskiego Wilna, czy na utrzymywaniu (dzięki istnieniu stale podsycanego sporu o Wilno) muru chińskiego między Polską a Litwą.

A za tym murem chińskim wre tymczasem gorączkowa praca scalania i krzepnięcia narodu litewskiego. W pracę tę wkładany jest duży zasób ideowości. Tego zaprzeczyć Litwinom nie można. Ideowy ich wysiłek ujawnia się w dziedzinie pracy oświatowej, w dziedzinie sztuki i kultury, a nawet w dziedzinie gospodarczej. Że na podłożu pracy ideowej lęgną się pasożyty i różne „obce ekspozytury"—to rzecz inna. Zresztą—gdzież tego niema. A bądź co bądź ideowa praca Litwinów w niełatwych jest prowadzona warunkach. Brak im i środków, i ludzi, i szczerych przyjaciół. Tragedją Litwinów jest to, że w imię zachowania i umocnienia odrębności narodowej, ostrze walki musieli skierować przeciwko polskości. Tragedją naszą jest to, że nie możemy w Litwinach widzieć swych wrogów, a nie widzimy przyjaciół.

Litwini dziś jeszcze podtrzymują hasło, wypowiedziane przez przywódców narodowego ruchu litewskiego na 10 lat przed wojną światową: „Jeżeli Polacy na Litwie litwinizować się nie chcą, będzie to dowód, że Litwinów nie kochają" (Patrz Feldman: Dzieje polskiej myśli politycznej t. III). Szowinizm litewski po dziś dzień nic na sile nie stracił. Tego rodzaju stosunek Litwinów do Polaków, mieszkających na Litwie, stwarza atmosferę nie sprzyjającą temu, aby Polak mógł się poczuć rzeczywiście obywatelem państwa litewskiego. Jest zjawiskiem zupełnie naturalnem, że Polak na Litwie, pochłonięty jest całkowicie walką o polski narodowy stan posiadania i myśli temi samemi kategorjami, co Litwin.

Sytuacja ta nie zmieni się dotąd, dopokąd tak Litwini, jak i Polacy, obywatele państwa litewskiego, nie zaczną traktować wszystkich spraw z punktu widzenia interesu państwowego Litwy. Litwini—w imię przyszłości państwa litewskiego—muszą stępić ostrze swego nieprzejednanego szowinizmu, a Polacy na Litwie muszą poczuć się szczerymi obywatelami państwa litewskiego, muszą wyzbyć się aspiracyj do roli gospodarzy tego kraju, a ograniczyć się do żądania należnych im praw, jako mniejszości narodowej.

Tego rodzaju ewolucja dzisiejszego stanu rzeczy byłaby ze wszech miar pożądaną z punktu widzenia interesów państwa polskiego.

j. n.

Kellogg contra Briand

Pakt anty-wojenny w najlepszym wypadku, t. j. w razie nadania mu formy, proponowanej przez Francję, nie może w niczem istotnem przyczynić się do utrwalenia pokoju. Zobowiązanie, pozbawione jakiejkolwiek sankcji, jest tyle warte, co papier, na którym je spisano.

Jesteśmy obecnie świadkami niezmiernie ciekawej gry politycznej, której protagonistami są amerykański sekretarz stanu Kellogg i francuski minister spraw zagranicznych Briand. Chodzi tu ni mniej, ani więcej, jak o usunięcie ze stosunków międzynarodowych wojny... przynajmniej na papierze. Sprawa ta jest równocześnie klasycznym przykładem, jak polityka pozorów i gestu prowadzi do konsekwencyj zgoła nieprzewidzianych i całkiem niepożądanych dla tych, którzy ją zainicjowali. Od tego, czy konsekwencje te dadzą się odwrócić, lub przynajmniej osłabić, zależy ocena akcji dyplomatycznej, rozgrywającej się pomiędzy gabinetami sześciu wielkich mocarstw, oraz jej znaczenie dla dalszego rozwoju sytuacji międzynarodowej.

Punktem wyjścia dla sprawy paktu przeciw-wojennego była zeszłoroczna propozycja, uczyniona przez p. Brianda rządowi Stanów Zjednoczonych, na mocy której obie strony miały na wieczne czasy wyrzec się ewentualności wojny pomiędzy sobą. Chimeryczny charakter tej propozycji był całkiem zgodny z charakterem twórcy paktów locarneńskich, których platoniczność była nie mniejsza, choć mniej oczywista. P. Briand nie liczył się naprzód z tem, że słowo: „zawsze“ i „nigdy“ oznaczają pojęcia absolutne, obce względności życia dziejowego. Los niezliczonych traktatów „wieczystego pokoju i przyjaźni“ powinien stanowić dla niego dostateczną przestrogę. Ale nietylko historja, której znajomość nie stanowiła nigdy mocnej strony p. Brianda, także logika jego własnej polityki, a w szczególności systemu, zainaugurowanego w Locarno, powinna była powstrzymać francuskiego ministra spraw zagranicznych od zaangażowania się w negocjację, która z tym systemem w żadnym wypadku pogodzić się nie dała.

W jaki bowiem sposób Francja od tryumfu kartelu lewicowego przy wyborach 11 maja r. 1924 usiłowała zabezpieczyć pokój, będący najwyższym celem jej polityki zewnętrznej? Z jednej strony—przez podniesienie autorytetu Ligi Narodów, z drugiej — przez uzyskanie zbiorowej gwarancji dla swych zagrożonych granic wschodnich. Oba te sposoby były zresztą tylko dwoma zastosowaniami ogólnej zasady: „wojna wojnie“, która znalazła najpełniejszy wyraz w Protokóle genewskim r. 1924. W porównaniu z tym ostatnim pakty locarneńskie były ogromnym krokiem wstecz. Z ruin światowej organizacji anty-wojennej, pogrzebanej przez angielskich konserwatystów, Francja chciała uratować chociażby skromną budowę o charakterze lokalnym, która miała zapewnić przynajmniej jej własne bezpieczeństwo. W Locarno, zamiast wielkiej akcji wszystkich państw Ligi przeciw wszelkiemu napastnikowi, została przyrzeczona pomoc pewnych mocarstw przeciw gwałcicielowi paktu reńskiego. Uzupełnieniem tych gwarancyj miało być przyjęcie Niemiec do Ligi Narodów i rozciągnięcie na to państwo ogólnych zobowiązań, ciążących na członkach instytucji genewskiej.

Otóż już pierwotna propozycja p. Brianda pod adresem Stanów Zjednoczonych była najoczywiściej sprzeczna z paktem Ligi. Projekt ten bowiem proklamował wieczny pokój pomiędzy Francją i Unją, bez jakichkolwiek zastrzeżeń, bez jakiejkolwiek wzmianki o zobowiązaniach Francji wobec Ligi Narodów. Tymczasem możliwość konfliktu pomiędzy Stanami Zjednoczonemi a Ligą jest wciąż otwarta i to nietylko w teorji. Gdyby Liga w istocie chciała spełnić swe zadanie—w szczególności zobowiązanie do ochrony niezawisłości i całości terytorjalnej wszystkich swych członków, zawarte w art. 10 Covenantu—konflikt byłby już dawno faktem dokonanym wobec agresywnej polityki imperjalizmu waszyngtońskiego w stosunku do państw Ameryki środkowej, reprezentowanych w Genewie. Liga jednak wolała zamknąć oczy na pogwałcenie fundamentalnych zasad Covenantu, niż ujawnić niemoc i niezdolność do jakiejkolwiek poważniejszej akcji. Nie znosiło to jednak obowiązków, wypływających z Paktu. Francja, która zawsze kładła na nie szczególniejszy nacisk, byłaby ostatnią, którejby takie zaparcie się dzieła prezydenta Wilsona przystało.

Pierwotna oferta francuska byłaby zgodną z Covenantem tylko pod warunkiem, że słusznym jest pogląd tych, którzy zaprzeczają, jakoby pakt Ligi nakładał na jej członków zobowiązanie do wojny przeciw państwu, naruszającemu Covenant. Istotnie, zobowiązanie takie nie jest nigdzie w pakcie explicite sformułowane, niemniej jednak jest *implicite* zawarte w art. 10. Takiem też było zawsze oficjalne stanowisko Francji i wszystkie jej zabiegi na terenie Ligi szły w kierunku wyraźniejszego określenia tego obowiązku. Tymczasem zasada bezwzględnego pokoju, ofiarowanego Stanom Zjednoczonym, równała się proklamowaniu neutralności nawet na wypadek wojny Ligi ze Stanami Zjednoczonemi.

Jakie korzyści praktyczne mogłyby wyniknąć dla Francji z takiego sprzeniewierzenia się Covenantowi? Trzeba odrazu powiedzieć, iż żadne. W obecnych warunkach prawdopodobieństwo wojny francusko-amerykańskiej niemal nie istnieje. Gdyby jednak Unja nabrała apetytu na francuskie Antylle lub Gujanę, świstek papieru, zapisanego przez p. Kellogga i Brianda, nie powstrzymałby jej napewno od tego tak, jak pamięć o pomocy, udzielonej przez Hiszpanję Stanom Zjednoczonym w czasie ich walki o niepodległość przeciw W. Brytanji, nie powstrzymała ich od zaboru Kuby, Portorico i Filipin. Natomiast złamanie Covenantu usuwałoby podstawę całej polityki międzynarodowej Francji. Krok p. Brianda tłumaczy się tylko gonieniem za wszelkiego rodzaju pozorami utrwalenia pokoju, za mnożeniem aktów dyplomatycznych bez realnej treści, ale za to pełnych frazeologji pacyfistycznej.

Niewątpliwie p. Briand liczył także na to, że pakt wieczystego pokoju zacieśni przyjazne stosunki pomiędzy Francją i Ameryką i stworzy pomiędzy niemi pewną solidarność, która mogłaby ułatwić ponowienie interwencji amerykańskiej po stronie Francji w razie nowego konfliktu w Europie. Te rachuby jednak doznały srogiego zawodu. Rząd Stanów Zjednoczonych nic nie chciał słyszeć o układzie wyłącznie francusko-amerykańskim. W odpowiedzi na projekt p. Brianda amerykański sekretarz stanu wysunął koncepcję wspólnego paktu anty-wojennego sześciu wielkich mocarstw: Anglji, Ameryki, Francji, Niemiec, Włoch i Japonji.

P. Briand wpadł sam w zastawiony przez siebie potrzask. Napróżno w dalszej wymianie not z rządem Stanów Zjednoczonych usiłował wykazać, że co innego jest pakt we dwójkę, a co innego w szóstkę i przypomniał sobie nagle o zobowiązaniach wobec Ligi Narodów. P. Kellogg odpowiadał z nieodpartą logiką, że jeżeli absolutne wyrzeczenie się wojny jest dobre w stosunku pomiędzy Francją a Unją, to równie dobre, a raczej znacznie lepsze, jest wykluczenie wojny ze stosunków pomiędzy sześciu głównemi mocarstwami świata. Jakoż p. Kellogg w swym projekcie paktu anty-wojennego, rozesłanym w zeszłym miesiącu gabinetom w Paryżu, Londynie, Berlinie, Rzymie i Tokjo, przejął poprostu wszystkie zasady pierwotnego projektu francuskiego. Natomiast rząd francuski w swym kontr-projekcie dokonał w odpowiedzi na projekt amerykański zupełnej zmiany frontu i wprowadził cztery zastrzeżenia, zmieniające zasadniczo charakter proponowanego paktu: 1) układ miał być otwarty dla wszystkich państw, a przynajmniej dla wszystkich, któ-

re mogą być zagrożone przez napaść ze strony innego państwa; 2) zakaz wojny nie dotyczy prawa słusznej obrony; 3) każdy uczestnik układu jest zwolniony od jego zobowiązań w stosunku do państwa, naruszającego układ; 4) pakt nie znosi zobowiązań, wynikających z Paktu Ligi Narodów lub innych traktatów.

Z tych zastrzeżeń drugie i trzecie należy do niewielu powszechnie uznanych zasad prawa międzynarodowego i dlatego umieszczenie ich w traktacie może wydać się niepotrzebne, gdyż chodzi tu o rzecz rozumiejącą się sama przez się. Na tem stanowisku też stoi p. Kellogg i opinja publiczna w Ameryce. Zupełnie inaczej przedstawia się sprawa zastrzeżenia pierwszego i czwartego. Są one czemś modyfikującem zasadniczo projekt amerykański, z drugiej zaś strony są dla Francji koniecznością życiową. Zastrzeżenie pierwsze ma na celu włączenie do paktu anty-wojennego sprzymierzeńców Francji w Europie środkowej, t. j. Polski i Małej Ententy.

Gdyby nie było tego zastrzeżenia, związek sojuszniczy pomiędzy temi krajami a Francją zostałby przekreślony przez przystąpienie tej ostatniej do paktu, w którym uczestniczyłyby Niemcy. Na podstawie paktu Francja byłaby bowiem zobowiązana do neutralności, gdyby Niemcy zaatakowały Polskę, Czechosłowację lub wogóle jakiekolwiek państwo, nie uczestniczące w pakcie przeciw-wojennym.

Również zastrzeżenie czwarte stanowi dla Francji kwestję życia lub śmierci. Wprawdzie zobowiązania wobec Ligi, które teraz są wysuwane na plan pierwszy, w rzeczywistości po fiasku Protokółu genewskiego nie mają praktycznego znaczenia i Francja, jak widzieliśmy, była gotowa poświęcić je bez skrupułów w swej pierwszej ofercie do Stanów Zjednoczonych. Inaczej jednak rzecz się ma z traktatami, w szczególności z traktatem wersalskim. Gdyby nie przyjęto zastrzeżenia czwartego, Francja musiałaby się przyglądać bezczynnie najjaskrawszym naruszeniom traktatów przez Niemcy, nie miałaby prawa przeciwstawić się im z bronią w ręku, gdyby zaś to uczyniła, byłaby uznaną za napastnika, gwałcącego najuroczystsze zobowiązania. Pakt Kellogga w jego pierwotnej formie stworzyłby wręcz idealne warunki dla odwetu niemieckiego.

Położenie Francji jest wyjątkowo trudne i to z winy jej własnego ministra spraw zagranicznych. Gdyby wyrzekła się ona swych zastrzeżeń, zwłaszcza pierwszego i czwartego, otwarłaby drogę do katastrofy swych sojuszników i swojej własnej. Jeżeli zaś będzie przy nich obstawać niezłomnie, naraża się na zawarcie paktu poza nią przez pięć wielkich mocarstw. Nastrój pacyfistyczny, podtrzymywany przez nią od r. 1924, zwróciłby się przeciw niej. Podobnie, jak w okresie okupacji zagłębia Ruhry, Francja figurowałaby, jako ostoja militaryzmu i imperjalizmu, jako zawada na drodze do ogólnej pacyfikacji i rozbrojenia. Nic też dziwnego, że Niemcy z takim zapałem przyjęły projekt amerykański. Położenie Francji jest tem gorsze, że także Anglja, Włochy i Japonja zajęły wobec propozycji Kellogga stanowisko zasadniczo takie same, jak Niemcy, choć z pobudek całkiem odmiennych. Dla mocarstw tych projekt amerykański nie przynosi żadnej korzyści, ale też w niczem ich nie krępuje, lub conajwyżej — gdy np. chodzi o stosunek Ameryki do Japonji — tylko w sposób teoretyczny. Natomiast zastrzeżenia francuskie, zwłaszcza pierwsze, są dla nich bardzo niewygodne. Jeśliby wszystkie państwa mogły przystąpić do paktu przeciw-wojennego, w takim razie byłoby mocno nie do twarzy W. Brytanji lub Japonji wysyłać armję i flotę do Chin, chociażby nazywano to tylko operacjami politycznemi, a nie wojną; w podobnem położeniu znalazłyby się Stany Zjednoczone w stosunku do republik środkowo-amerykańskich. Dla Włoch wyrzeczenie się wojny, gdyby dotyczyło wszystkich państw, równałoby się wyrzeczeniu planów o „impero“ na Adrjatyku i morzu Śródziemnem. Z drugiej strony tak Anglja, jak Włochy patrzą niechętnie na system aljansów, łączący Francję z Polską i państwami Małej Ententy, i chętnie widziałyby jego likwidację na zasadach planu Kellogga.

W ostatecznej konkluzji trzeba powiedzieć, że pakt anty-wojenny w najlepszym wypadku, t. j. w razie nadania mu formy, proponowanej przez Francję, nie może w niczem istotnem przyczynić się do utrwalenia pokoju. Zobowiązanie, *pozbawione jakiejkolwiek sankcji*, jest tyle warte, co papier, na którym je spisano. Wszak nowoczesne prawo międzynarodowe — w przeciwieństwie do starożytnego — uznaje pokój za normalny stan pomiędzy państwami świata cywilizowanego i potępia wszelką wojnę zaczepną pomiędzy niemi. Co więcej, pomiędzy wszystkiemi prawie wielkiemi mocarstwami istnieją już wiążące traktaty — rzecz znamienna: są to przeważnie traktaty pokojowe — które proklamują stan pokoju i przyjaźni na wszystkie czasy. Pomnożenie tych papierów dyplomatycznych o jeden nowy, nie dający najmniejszych rękojmi realnych, nie może wcale powiększyć bezpieczeństwa w stosunkach międzynarodowych. Iluzje, jakie mogą z okazji takiego paktu powstać wśród szerokiego ogółu, są nawet bardzo szkodliwe dla prawdziwych interesów pokoju, gdyż odwracają uwagę od realnych środków utrwalenia porządku międzynarodowego.

Gdyby zaś dyplomacja amerykańska odniosła zwycięstwo w punktach esencjalnych, pakt anty-wojenny stałby się w rzeczywistości instrumentem przewrotu stosunków, stworzonych przez wojnę światową i traktaty, które ją zlikwidowały. Przewrót ten nie może w żadnym wypadku dokonać się drogą pokojową tak, jak było potrzeba wszystkich wojen w. XIX, ażeby zmienić stan rzeczy, ułożony na Kongresie wiedeńskim. Niejednokrotnie najczystszy idealizm, który nie liczył się z twardą rzeczywistością, doprowadził do rezultatów djametralnie sprzecznych z własnemi założeniami i celami. Cóż dopiero mówić o idealizmie, który służy za maskę dla najbardziej materjalnych interesów. Dla państw i narodów jest sprawą najwyższej wagi nie dać się wziąć na lep pięknych frazesów i nie zapominać o istotnych sprężynach życia dziejowego. Naiwnym, często także udającym naiwnych przez pozorny spryt, grozi otrzeźwienie w chwili, gdy będzie już zapóźno, gdy zawiśnie nad nimi katastrofa, której można było przy innem postępowaniu uniknąć.

Tadeusz Wałek-Czernecki

Nowy parlament w Niemczech

Ostatnie wybory nie wyjaśniły sytuacji w Niemczech. Wprawdzie zwycięstwo liczbowe socjalistów przesunęło punkt ciężkości na stronę lewą, oznacza to jednak orjentowanie sie społeczeństwa w kierunku radykalnym pod względem społecznym. Komuniści zwyciężają, ponieważ rząd nie przeciwdziała ich propagandzie ze względu na sojusz z Sowietami. Na socjalistów spada ciężkie zadanie tworzenia rządu, kurs Stresemanna w polityce zagranicznej zostanie podtrzymany.

Nowe wybory bynajmniej nie wyjaśniły, wbrew stereotypowym zapowiedziom, sytuacji wewnętrznej w Niemczech. Socjaliści, zdobywając 150 mandatów, a więc stając się ośrodkiem każdego rządu, przyjęli na siebie ciężki serwitut, któremu nie zawsze będą mogli podołać. Nacjonaliści stracili około 20% głosów i stają się partją par excellence opozycyjną. Rząd parlamentarny przez całą obecną kadencję będzie musiał opierać się na sojuszu stronnictw od niemieckiej partji ludowej (Stresemann) do socjalistów włącznie. Otóż wszystkim wiadomo, że partję Stresemanna łączy z socjalistami wspólny mniej więcej pogląd na sytuację międzynarodową, to znaczy pogląd na metody, któremi Rzesza Niemiecka ma odzyskać swą dawną pozycję na świecie, natomiast w sprawach społecznych istnieją pomiędzy temi dwoma skrzydłami domniemanej koalicji jak największe rozbieżności, a to tem bardziej, że do *Deutsche Volkspartei* należą fabrykanci i przemysłowcy różnego autoramentu, którym pobyt wśród nacjonalistów i monarchistów czystej krwi wydawał się nieodpowiednim tylko ze względów taktycznych. Jedyna ta kombinacja parlamentarna, która musi wyłonić się w najbliższym okresie, jest bardzo trudna i, powiedzieć można, nienaturalna. Nastrojom mas niemieckich bardziej odpowiada rząd mieszczański; miljony głosów, padające na socjalistów, są wyrazem tylko trosk życia codziennego, walki o poziom płac, ale nic nie mają wspólnego z tendencjami narodu niemieckiego, jako całości. Socjaliści sami zdają sobie z tego sprawę i starannie unikają wytworzenia takiej sytuacji, w której przyszłoby im oddzielić się od zasadniczych tendencyj społeczeństwa. Nie przypuszczamy w tej chwili, aby socjalista objął stanowisko kanclerza w przyszłym rządzie. Wydaje się prawdopodobniejszem, że na to stanowisko przyjdzie jeden z polityków centrowych, sympatycznie witany przez socjalistów, np. burmistrz Kolonji Adenauer lub b. kanclerz Wirth. Socjaliści zadowolą się portfelami, które ułatwią im skuteczniejszą pomoc dla tych niezliczonych rzesz drobnych urzędników, robotników kwalifikowanych, pracowników handlowych, którzy bardzo ucierpieli pod wpływem zarządzeń ostatnich dwóch gabinetów. Helferding, jako minister skarbu, byłby po myśli starych przywódców socjalistycznych. Spotkać się on może z oporem wielkich banków, być może współdziałających po cichu z generalnym agentem reparacyjnym. Te możliwe kombinacje personalne są ważne dlatego właśnie, że odsłaniają oczywisty fakt, że nowe wybory nie wytworzyły jeszcze nowej sytuacji w Niemczech, aczkolwiek stanowią etap na drodze przezwyciężenia wpływów nacjonalistycznych i monarchistycznych. Gwałtowny wzrost głosów komunistycznych tłumaczyć należy tem, że rząd niemiecki, w szczególności resort ministerstwa spraw wewnętrznych, sprawowany ostatnio przez nacjonalistycznego ministra von Keudella nie stawiał żadnego poważniejszego oporu propagandzie komunistycznej, nie chcąc naruszać zobowiązań, wynikających z traktatu przyjaźni. Niemcy nie są z tego punktu widzenia wałem ochronnym przed rewolucją komunistyczną, lecz państwem, które dla pewnych doraźnych korzyści w polityce międzynarodowej toleruje u siebie ruch komunistyczny, spodziewając się, że w ostatnim momencie zawsze nadmiar rozpędu rewolucyjnego potrafi opanować. 54 komunistów w parlamencie niemieckim oznacza siłę i nie powinniśmy zapominać, że wśród socjalistów jest wielu takich posłów, którzy komunistów uważają za swych naturalnych sprzymierzeńców. Stronnictwa polityki realnej: centrum, demokraci i, z pewnemi zastrzeżeniami, partja Stresemanna wychodzą z wyborów osłabione. Niemcy orjentują się na lewo w sensie społecznym, lecz nie orjentują się ku polityce środka. Oczywiście, świadoma opinja publiczna powinna być jak najdalej także od niedoceniania pewnych zasadniczych, a dodatnich dla polityki międzynarodowej przesunięć, lecz właśnie cały nacisk należy położyć na to, aby zachodzące zmiany były zmianami, dokonywującemi się w głębi społeczeństwa i w jego psychice, aby polityka wewnętrzna i zewnętrzna odpowiadała faktycznemu układowi sił, a nie była tylko taktycznym zabiegiem.

Nie możemy też pominąć tego zasadniczego przejawu w narodowościowej polityce niemieckiej, jakim jest utrata mandatów do sejmu pruskiego przez mniejszości narodowe, zamieszkujące państwo niemieckie. Nawet według oficjalnych pruskich statystyk mniejszości narodowe powinny mieć tyle głosów, aby zdobyć trzy do czterech mandatów do sejmu pruskiego, pomijając już reprezentację w parlamencie. Tymczasem ilość głosów mniejszości narodowych tak dalece się skurczyła, że nie wystarczyło ich nawet na jeden mandat sejmowy. Czemu to przypisać? Oto zabiegi administracyjne na Śląsku Opolskim i w Prusiech Wschodnich dały właściwe owoce. Gdy bowiem w dalekiej Westfalji i Nadrenji ilość głosów mniejszości narodowych odpowiada mniej więcej stanowi posiadania (a tam, gdzie jest ich mniej, niż być powinno, głosowano na jakiegoś sympatycznego kandydata socjalistycznego lub centrowego), tuż pod granicą polską, gdzie przy sprawiedliwej polityce nie powinno się obserwować żadnych strat, mniejszość narodowa polska z przyczyn, które będą ujawnione, głosowała na listy niemieckie. To powszechne zjawisko dowodzi w każdym razie, że niebezpieczeństwa, jakie zagrażają mniejszości narodowej polskiej w państwie niemieckiem, są znacznie większe, aniżeli powszechnie się przypuszcza. Spadek głosów jest tak znaczny, że właściwie można mówić o politycznej eksterminacji żywiołu mniejszościowego. Tak przynajmniej wydaje się nam zdaleka po pierwszych wiadomościach o wynikach wyborów tak do parlamentu niemieckiego, jak do sejmu pruskiego.

Mieczysław Rettinger

Czytelnicy! Starajcie się rozszerzać i rozpowszechniać „Przełom“ w kołach waszych znajomych i przyjaciół.

Oblicze polityczne nowej Izby francuskiej

Zwyciężył właściwie Poincare. Ideologja „jedności narodowej" złączyła się bowiem nierozerwalnie w opinji „przeciętnego" wyborcy z osobą obecnego prezesa rządu.

Od dwudziestego dziewiątego, kwietnia t. j. od dnia wyborów, upływa już blisko miesiąc, a mimo to nie można jeszcze zdać sobie dokładnie sprawy z istotnego oblicza politycznego nowej Izby.

Sytuacja parlamentarna (w sensie liczebności, a nawet ilości klubów, ewentualnie również i ich „orjentacji") jest dotychchczas zupełnie płynna, jeśli zaś chodzi o podział sił i wpływów między „prawicę" i „lewicę" — zdaje się, nie będzie posiadał on ani wyraźnie zakreślonych granic, ani cech stałości.

Nie wynika stąd wcale, by nowa Izba nie miała wogóle znaleźć punktu równowagi: na najbliższą przynajmniej przyszłość jest nim obecny premjer p. Poincaré — jedyny prawdziwy tryumfator wyborów. W ten sposób jednak „punkt równowagi" znajduje się na zewnątrz, a nie wewnątrz Izby: sytuacja wręcz odwrotna do tej, jaka zaistniała po wyborach w roku 1924-ym. Każdy wówczas wiedział do czego dąży, dokąd zmierza. Zwycięzcy i zwyciężeni w wielkiej próbie sił dwóch przeciwstawnych ideologij zajęli odrazu wyraźne, mocno ufortyfikowane pozycje. Sytuacja była jasna i zdawała się mieć wszelkie cechy trwałości. Rozmach ofensywny zwycięzców nie znał nieomal granic. „Wszystkie stanowiska i to natychmiast"—było ich sztandarowem i twardo realizowanem hasłem. W myśl tej zasady poproszono p. Milleranda do „opróżnienia" Pałacu Elizejskiego... Obecnie — nowoobrana Izba nie może odnaleźć samej siebie. Stu pięćdziesięciu kilku posłów — w cztery tygodnie po wyborach — nie wie, do jakiego przystąpi ugrupowania. Znaczna ich część, wychodząc z założenia, iż została wybrana pod hasłem „jedności narodowej", domaga się utworzenia klubu o charakterze nietylko apartyjnym, lecz i a p o l i t y c z n y m. „Precz z polityką, ratujmy franka, oddając wszystkie nasze siły do dyspozycji Poincaré'go" — oto dewiza większości „nowych", których jest aż 307...

Jaką tedy fizjonomję posiada nowa Izba? W prasie na ten temat kłótnie: każdy ciągnie w swoją stronę, każdy „czarno na białem" udowadnia co innego. „Izba ma wyraźną większość prawicową" — twierdzą jedni (między innemi i socjaliści). „Centrową" — wykazują drudzy. „Centrowo-lewicową" (czyli t. zw. „koncentracyjno-republikańską" w/g niezawodnego przepisu[1]) znanego alchemika parlamentarnego p. A. Brianda), czy nawet wręcz „lewicową" — utrzymują jeszcze inni, mocno obstając przy swojem. Jak widzimy, skala rozległości „interpretacyj" niesłychanie wielka... A więc większość „jednościowo-narodowa"? Niby tak... lecz, ściślej mówiąc, większość p. Poincaré'go. Zwyciężył właściwie „On". Ideologja „jedności narodowej" złączyła się nierozerwalnie w opinji „przeciętnego" wyborcy z osobą obecnego prezesa rządu. Tryumfuje ona *wraz* z nim, czyli poniekąd w jego cieniu. W okresie najbliższych kilku miesięcy okoliczność ta będzie bardzo silnie ciążyła nad Izbą, decydując nietylko o bardziej prawicowym, czy lewicowym odcieniu parlamentarnej „jedności narodowej", lecz wręcz o obliczu nowej legislatury. Wykładnikiem politycznym Izby jest wiec — przynajmniej narazie — sędziwy szef rządu. On będzie jej nadawał kierunek: że zaś, będąc silny i zdecydowany, jest on w równej mierze zręczny, ostrożny, a nawet nieufny, że — w przeciwieństwie do p. Herriot'a — nie dostaje zawrotu głowy, gdy unosi go w górę fala popularności, że dalej nie ma aspiracyj p. Briand'a, by opierać swe wpływy w Parlamencie na osobistym uroku i sympatjach do swej osoby — przeto sądzić należy, iż nietylko utrzyma się przez czas dłuższy przy sterze rządów, lecz że również i nadal będzie odgrywał wobec tej Izby rolę kamertonu politycznego.

Pierwszem posunięciem w kierunku urobienia fizjonomji politycznej Izby jest decyzja p. Poincaré'go utrzymania bez żadnych zmian dotychczasowego składu swego rządu, który, będąc wprawdzie rządem „jedności narodowej", przystosowany był jednak wyraźnie do układu sił poprzedniej Izby, wybranej pod znakiem „kartelu" stronnictw lewicowych. Oblicze *zaś* nowej Izby daje się, bądź co bądź, określić negatywnie, jako „anty-kartelowe".

* * *

Niewyraźne oblicze polityczne nowej Izby poselskiej jest przedewszystkiem wynikiem *plebiscytowego* w znacznej mierze charakteru ostatnich wyborów francuskich. „Przeciętny" wyborca (*„homme de la rue"*) głosował *za* lub *przeciw* p. Poincaré'mu (w praktyce głosował: *za*). Opinja Francji zgrupowała się wokół c z ł o w i e k a, oddając hołd jego ideowości, pracy, zupełnej bezinteresowności politycznej, bezgranicznemu poświęceniu się sprawie publicznej. Wysyłając do Izby conajmniej 400 posłów, którzy jasno i zdecydowanie wypowiedzieli się, jako zwolennicy *bez zastrzeżeń* Poincaré'go (najbardziej „popłatna" etykieta wyborcza), dano mu wszelką możność kontynuowania rozpoczętego dzieła uzdrowienia skarbu. Etykiety partyjne, a nawet zagadnienia polityczne — odgrywały w ostatnich wyborach francuskich drugorzędną rolę. Na plan pierwszy wysunęły się sprawy gospodarcze. Stąd możliwość tak paradoksalnego ujmowania sytuacji, jak to czyni w poważnem piśmie poważny skądinąd senator Ernest Billet, pisząc z całym spokojem: „Ruch budowlany powinien być naczelnym celem, drogowskazem prac rozpoczynającej się legislatury".

Inna sprawa, że tych czterystu „rządowych" posłów (a nawet nietylko tych czterystu) nie ma nietylko programu, ale nawet jednolitej koncepcji polityki skarbowej i gospodarczej. Część z nich (reprezentujących interesy drobnych rentjerów) dąży do rewaloryzacji franka, inni są zwolennikami stabilizacji. W okresie wyborczym ten zasadniczy problem gospodarczy został całkowicie pominięty milczeniem. P. Poincaré nie ujawnił dotąd nigdy swego programu w tej sprawie, unikając starannie wypowiedzenia się w niej przed wyborami: zajęcie tego, czy innego stanowiska grozić mogło przepołowieniem liczby zwolenników. Rewaloryzacja musiałaby narazić życie gospodarcze Francji na bardzo poważne wstrząsy, program stabilizacyjny jest znów bardzo niepopularny w szerokich kołach drobno-mieszczańskich, żyjących jeszcze tradycjami rentjerskiemi. Milczał tedy mistrz, milczeli więc tembardziej czeladnicy. Kiedyś jednak przyjdzie zająć w tej sprawie stanowisko, a wówczas mogą powstać poważne trudności.

Nie inaczej przedstawia się sytuacja, jeśli idzie o kwestję przekazania monopolów państwowych kapitałowi prywatnemu. Prawicowa część większości rządowej będzie domagała się realizacji tego postulatu, lewe zaś skrzydło kategorycznie mu się przeciwstawi. Prawica, która odniosła sukces wyborczy (nie tak wielki zresztą, jak się począt-

[1]) Wziąć trzech — czterech wybitniejszych „republikanów-socjalnych" (ugrupowanie zupełnie luźne — przyp. autora artykułu), trzech — czterech „radykałów społecznych" (raczej drugoplanowych), dwóch — trzech „radykałów niezależnych", dwóch — trzech możliwie już do niczego, lecz za to o głośnem nazwisku centrowców, 1 nieszkodliwego centro-prawa (w charakterze czysto „indywidualnym"), dodać 2 przyjaciół osobistych, zaprawić 3-ma umiarkowanie lewicowymi senatorami — mocno wymieszać i tak spreparowany gabinet podać Izbie w sosie emocjonującej mowy, zaprawionej zlekka łezką i unikać nadewszystko przywódców partyj i klubów i wogóle indywidualności. Większość na pół roku zapewniona.

kowo wydawało) głównie dzięki bojowym organizacjom katolickim — żądać będzie zniesienia ustaw anty-klerykalnych, a może nawet będzie próbowała wysunąć sprawę konkordatu. Łatwo wyobrazić sobie, jaki sprzeciw wywołałaby podobna inicjatywa w rządowem anty-klerykalnem centrum, nie mówiąc już naturalnie o lewicy, czy to *pro* czy *anty* - rządowej.

Niewyłączone jest bynajmniej, że dzieje tej Izby będą bardziej burzliwe, niżby to się napozór wydawać mogło.

To też zapewne licząc się z tą ewentualnością, p. Poincaré widziałby, zdaje się, chętnem okiem powstanie w nowej Izbie silnego centrum, mającego stanowić ośrodek większości rządowej, kosztem osłabienia klerykalno-nacjonalistycznego, społecznie zaś reakcyjnego prawego skrzydła swej większości[2]). Zresztą demokratyczne ugrupowania centrowe — najbardziej ideowo zbliżone do p. Poincaré'go — są temi, które w ostatecznym rezultacie zostały przez wybory najsilniej wzmocnione. Centrum we Francji jest jednak niesłychanie rozbite i zróżniczkowane, a sprawa utworzenia wielkiego klubu centrowego zdaje się napotykać na duże trudności.

Z tem rozdrobnieniem—b. silnej obecnie liczebnie — grupy centrowej wiąże się ściśle sprawa niejasno zarysowanego oblicza politycznego Izby. Stronnictwa: socjalistyczne i radykalne posiadają w Izbie kluby, będące odpowiednikami parlamentarnemi organizacyj partyjnych w społeczeństwie. Niezależne żywioły lewicowe grupują się w klubie parlamentarnym słabego na terenie stronnictwa republikańsko - socjalnego [3]). Na prawicy istnieje silny i zwarty klub Unji Republikańsko-Demokratycznej (odpowiednik stronnictwa Federacji Republikańskiej), klub „demokratów" (dość radykalny społecznie, ale programowo - katolicki), wreszcie rojaliści. Natomiast w centrum ..pył grup i grupek, zmieniających w każdej Izbie swe nazwy. W poprzedniej Izbie istniało ich pięć: „lewica radykalna" (Loucheur), „republikanie lewicowi" (Dariac, Leygues, w Senacie — Poincaré), „lewica niezależna" (Colrat, Le Troqueur), „lewica republikańsko-demokratyczna" (Flandin Maginot), wreszcie zaś... „Klub niezapisanych do żadnego klubu" („*groupe de non - inscrits aux groupes*"). Silna i wpływowa na terenie organizacja centrowa, mająca wiele punktów programowych, zbliżonych do partji radykalnej: *Alliance républicaine democratique* nie posiadała natomiast wcale oficjalnej reprezentacji parlamentarnej. To rozbicie c e n t r u m, przyczyniające się w dużej mierze do nietrwałości rządów we Francji jest przeważnie wynikiem ambicyj personalnych (aspiracje do tek ministerjalnych przywódców „grup"). Różnic programowych między poszczególnemi klubami centrowemi należy się dopatrywać przez lupę; natomiast siłą rzeczy powstają dość silne różnice taktyczne, wywierające znaczny nawet wpływ na linję polityki francuskiej. Przypomnijmy, że usunięcie się w roku 1925 od współpracy z radykałami i socjalistami grupy Loucheur'a *(gauche radicale)* przesądziło ostatecznie los „kartelu lewicy".

Wobec dużej siły liczebnej centrum (około 200 posłów), sprawa tego, czy innego jego zorganizowania na terenie parlamentarnym nabiera dziś dość zasadniczego znaczenia, zwłaszcza jeśli chodzi o oblicze polityczne Izby. Większość rządowa bowiem (której oś przechodzi zresztą przez centrum) istnieje tak, czy owak. Przynajmniej narazie. Wskutek bowiem właśnie wielkiego rozdrobnienia centrum wszystkie Izby francuskie posiadają 2 lub więcej nawet większości „zamiennych" (inaczej mówiąc—nie posiadają „większości" stałej). Wybrane pod wyraźnym sztandarem jakiegoś obozu, kończą częstokroć swój żywot w cieniu proporców obozu przeciwnego.

* * *

Trzecią wreszcie i ostatnią przyczyną zaciemnionej fizjonomji politycznej Izby są jednomandatowe okręgi wyborcze. Wywarły one silnie na wyborach swe, właściwe sobie, piętno, faworyzując naogół kandydatów o obliczu nie nazbyt wyraźnem (politycznie—rozumie się) i zdecydowanem, jak się to mówi po francusku: *d'opinions moyennes*. Przy okręgach jednomandatowych „przepadają" b. często przywódcy partyjni: odczuła to zwłaszcza w sposób bolesny partja socjalistyczna, tracąc Blum'a, Lebas'a, Moutet'a. Partja radykalna poniosła poważny ubytek jakościowy, postradawszy młodych, inteligentnych, pełnych zapału: Jerzego Bonnet'a i Kamila Chautemps'a (obu b. ministrów). Centrum opłakuje wybitnych, uczciwych, solidnych polityków; Raynaldy'ego i Maurycego Colrat'a (również ex ministrów). Gdyż — jak stwierdza Emil Buré w dzienniku *l'Avenir* — „ordynacja jednomandatowa daje przewagę miernotom bez skrupułów, awanturnikom politycznym, którzy mają w pogardzie wszelką ideologję, strategom powiatowym"...[4]) „I choć okręgi jednomandatowe zapewniły—pozornie przynajmniej—sukces naszym przyjaciołom politycznym i partjom narodowym — nie żywimy dlań żadnej wdzięczności". (Nawiasem mówiąc, p. Buré jest coś zanadto surowy dla swych przyjaciół politycznych i dla własnego stronnictwa).

Okręgi jednomandatowe nie pozwalają na wytwarzanie się wielkich prądów ideowych, na konfrontację programów i ideologij. „Zamiast wielkiej bitwy politycznej, szereg bezmyślnych starć lokalnych" — pisze Marcel Deat w socjalistycznym „*Le Populaire*". „Nikt nie może utrzymywać, że walka zyskała w ten sposób na jasności".

* * *

Mimo to jednak spróbujmy zorjentować się w układzie sił nowej Izby.

a) *Prawica.* Konserwatyści utrzymują swe pozycje (15 posłów). Grupa Marin'a (Unja Rep.-Dem.) liczyć będzie od 100 do 125 posłów (w poprzedniej Izbie 108). Dalej „demokraci" 17, zamiast jak poprzednio 14. Razem prawica od 132 do 152 posłów (w poprzedniej Izbie 137).

b) *Centrum* — od 165 do 190 posłów, z czego radykali niezależni (lewe centrum) około 55 mandatów. (W poprzedniej Izbie grupy centrowe liczyły około 130 posłów).

c) *Lewica demokratyczna.* Radykali socjalni (Herriot) 123 posłów należących do partji (w poprzedniej Izbie łącznie z kilkoma hospitantami—138 posłów). Republikanie socjalni (luźna grupa niezależnych posłów lewicowych, do której są zapisani Briand i Painlevè) — 47 posłów (w poprzedniej Izbie—42 posłów). Razem lewica radykalno-demokratyczna — 170 posłów (w poprzedniej Izbie 180).

d) *Lewica socjalistyczna.* Socjaliści — 101 posłów (poprzednio 104); socjaliści-komuniści—2 posłów (poprzednio 0). Razem lewica socjalistyczna—103 posłów (poprzednio 104)

e) *Komuniści* obecnie 14 posłów (poprzednio 27)

Nie należy przytem zapominać, iż—wskutek przejścia do systemu okręgów jednomandatowych—ogólna liczba posłów wzrosła o 28.

Co wynikałoby z tych cyfr, zresztą jeszcze nie ostatecznych?

To przedewszystkiem, iż nowa Izba podobna jest bardzo do swej poprzedniczki. Mimo utraty kilkunastu mandatów przez lewicę demokratyczną i socjalistyczną, mimo wzmożenia się na siłach prawicy, a zwłaszcza centrum—różnica we wzajemnym stosunku sił pozornie wydawaćby mogła nieznaczna. Lecz pozornie tylko. Środek ciężkości nowej Izby znajduje się dziś w centrum, a nie na lewicy.

---

[2]) P. Poincaré nie jest zresztą wcale mężem zaufania prawicy, która chętniej znacznie widziałaby na stanowisku prezesa ministrów — b. prezydenta Republiki p. Aleksandra Millerand'a.

[3]) Klub ten siłą rzeczy nie posiada ani spoistości wewnętrznej, ani żadnej dyscypliny. Na 40 członków, których liczył w poprzedniej Izbie, tylko 13 należało do partji republikańsko-socjalnej (przywódca— Painlevé).

[4]) Gdy jednemu z wybitniejszych byłych posłów, który przepadł przy wyborach, zarzucano, iż nie przystosował się do „wymogów" ordynacji jednomandatowej — miał on odpowiedzieć: „A jeśli nie chcę ściskać wszystkich rąk i pić ze wszystkimi"...

Pozatem różnice między tą Izbą, a poprzednią są bardziej istotne, niż to uwydatniają przytoczone powyżej cyfry. Zasadnicza różnica między Izbą z r. 1924 a nowoobraną leży w płaszczyźnie psychologicznej. I różnica ta jest bardzo głęboka. Grupa radykalno-socjalna w nowej Izbie ma zupełnie inny kąt nastawienia, niż za poprzedniej legislatury. Wówczas radykali orjentowali się na lewicę socjalistyczną, dziś orjentują się na centrum. W poprzedniej Izbie lewica demokratyczna widziała w rządach Poincaré'go zło konieczne, dziś, w ogromnej swej większości, stanęła pod jego sztandarem. Kalkulacja wyborcza? W znacznej mierze — tak. To też nie jest powiedziane, że przy nadarzającej się sposobności radykali nie zechcą zemścić się na obecnym premjerze za to, iż musieli uciec się pod jego protektorat (przedwyborcza wielka mowa Poincaré'go w Carcassonne, wygłoszona celem wzmocnienia zachwianych pozycyj wyborczych partji radykalnej). Narazie jednak większość posłów radykalnych jest gorąco pro-rządowa.

Gros opozycji przeciw-rządowej stanowić będą socjaliści i komuniści. Mimo utraty trzech mandatów socjaliści, którzy zdobyli przy wyborach 1.717.212 głosów i posiadają 101 posłów, stanowią w dalszym ciągu bardzo poważną siłę.

Komuniści ponieśli klęskę... ale *wyłącznie* mandatową. L i c z b a p o s ł ó w komunistycznych—w porównaniu ze stanem posiadania w poprzedniej Izbie—s p a d ł a do p o ł o w y. Natomiast l i c z b a g ł o s ó w, które padły na listy „Bloku robotniczego i włościańskiego" (firma wyborcza Komunistycznej Partji Francji), *zwiększyła się bardzo znacznie* a r y t m e t y c z n i e i p r o c e n t o w o.

Głosy, które padły na komunistów:

	Liczba głosów	% ogóln. liczby głosujących	liczba posłów
1924	875.812	8,3%	27
1928	1.060.335	13,2%	14

Tabelka ta jest bardzo wymowna. Uzupełnić ją można jedynie uwagami, że jeśliby we Francji obowiązywał system proporcjonalny głosowania to—według obliczeń p. Lachapelle'a, najlepszego francuskiego specjalisty od spraw wyborczych — komuniści liczyliby w obecnej Izbie 78 posłów. Mają zaś 14. Poza tem w stosunku do r. 1924 *liczba głosów* komunistycznych *wzrosła*, jak widzimy z powyższej tabelki, *o 50%*, liczba posłów *zmniejszyła się o 50%*.

Jednomandatowa ordynacja wyborcza zawiodła wiele pokładanych w niej nadziei. Źle wyszli na niej *socjaliści*, którzy za nią głosowali, nieświetnie najwięksi jej zwolennicy — radykali. Najwięcej zarobiła na niej prawica, która najbardziej obawiała się nowej ordynacji i była jej zdecydowanie przeciwna. Pod jednym tylko względem system jednomandatowy okazał się „niezawodny w użyciu": nie dopuścił do Parlamentu komunistów, stał się dla nich więcej, niż przeszkodą nie do przebycia... stał się gilotyną.

Na zakończenie chcielibyśmy przytoczyć kilka cyfr, świadczących zarówno o nastrojach politycznych ludności, nastrojach źle bardzo odzwierciadlonych przez wyniki mandatowe wyborów, jak i o absurdalności systemu jednomandatowego.

Prawica nacjonalistyczna [5]), która uchodzi za jedną z „tryumfatorek" ostatnich wyborów, zdobyła 1.008.244 głosy i... 142 mandaty. Komuniści, jak widzimy, otrzymali głosów *więcej*, gdyż 1.060.334, lecz uzyskali za to tylko **jedną dziesiątą** mandatów, które przypadły w udziale prawicy!! Na listy socjalistyczne padło o 70% głosów więcej, niż na listy prawicowe. Natomiast socjaliści uzyskali o 40% posłów mniej, niż prawica!

Prawica i prawe centrum zwiększyły znacznie swój stan posiadania w Izbie. Natomiast liczba wyborców, którzy wypowiedzieli się za temi ugrupowaniami, zmniejszyła się.

Podkreślmy jeszcze, że socjaliści łącznie z komunistami—a więc trzon opozycji—zdobyli razem 2.777.546 głosów, co stanowi jedną trzecią ogólnej liczby głosujących.

Mimo jednak wszystkich rażących „niesprawiedliwości" i „wykoślawień", sprawiających, iż fizjonomja polityczna Izby nie odpowiada w szczegółach (o wiele zbyt silna prawica i prawe centrum) fizjonomji politycznej kraju—stwierdzić należy, iż większość społeczeństwa francuskiego wypowiedziała się za polityką p. Poincaré'go i że pod tym zasadnicym względem system okręgów jedno-mandatowych nie zdołał sfałszować opinji wyborców.

J. Szurig

[5]) Unja republikańsko - demokratyczna (grupa Marin'a) i t. zw. demokraci.

Z ŻYCIA ROSJI SOWIECKIEJ

Antysemityzm na Ukrainie

Coraz częściej w prasie sowieckiej i w urzędowych enuncjacjach czołowych działaczy bolszewickich spotykamy się z biciem na alarm z powodu wzrastającego i zataczającego w Rosji coraz szersze kręgi antysemityzmu.

Specjalnie jaskrawe formy — aż do drobnych podpalań i pogromów włącznie — przyjmuje on na terenie Ukrainy, której ludność spotykała się przed wojną z elementem żydowskim tylko w handlu, obecnie zaś widzi go wszędzie, a więc w urzędach, w radach, na kolejach i — co najbardziej ludność drażni — na wsi, dzięki stałemu i planowemu, chociaż wskutek trudności finansowych powolnemu osadnictwu, dla którego obszary rolne zdobywa się niekiedy w ten sposób, iż przesiedla się ludność rdzennie ukraińską na odległą i mało żyzną Syberję.

W opinji dość ciemnej i mało kulturalnej masy chłopskiej rodzi się coraz silniej podświadome przekonanie, że cały ustrój sowiecki i rządy bolszewickie oraz ciężkie warunki bytu są wyłącznem dziełem Żydów. Co więcej, że są one rezultatem zemsty Żydów za dawniej okazywaną im przez włościan pogardę. Dziś to dawniejsze uczucie pogardy zmienia się w uczucie znacznie groźniejsze, bowiem w nienawiść.

Rząd sowiecki, walcząc ze wzrastającym antysemityzmem, stara się przekonać masy robotnicze i włościańskie, że Żydzi w urzędach zajmują procentowo mniej stanowisk, aniżeli powinniby mieć w stosunku do swej liczebności. Ludność do twierdzeń tych odnosi się z niewiarą i zupełnie słusznie, bowiem są one niezgodne z rzeczywistością. Objektywnie rzecz biorąc, stwierdzić należy, że abstrahując od swej sympatji czy antypatji do elementu żydowskiego, rząd bolszewicki musi w pracach administracyjnych opierać się na Żydach, bowiem wskutek emigracji inteligencji z Rosji po wybuchu rewolucji komunistycznej i wskutek małej kulturalności elementów włościańskich i robotniczych, Żydzi są obecnie najbardziej przygotowanym czynnikiem do objęcia posad państwowych, samorządowych, bankowych i t. d.

Bez echa pozostają również i takie argumenty sowieckie, jak ten, iż antysemityzm jest pozostałością przeszłości carskiej i że musi zginąć w państwie proletarjackiem, gdyż jest on takim samym czynnikiem anty-społecznym, jak pijaństwo, przestępczość i zabobony.

Te i inne podobne argumenty wcale nie przekonywują szerokich mas włościańskich, a antysemityzm zaczyna z młodym pokoleniem przenikać do fabryk i nawet do zakładów naukowych.

W zakładach naukowych Kijowa, Odesy, Połtawy, Kamieńca-Podolskiego i Winnicy w ostatnich czasach można

zanotować cały szereg wystąpień antysemickich. Do prezydjów zebrań studenckich podawane były skargi „na przewagę Żydów w wyższych uczelniach naukowych" oraz domagano się „ustalenia określonego procentu przy przyjmowaniu Żydów do zakładów naukowych". Wszak to nic innego, jak „numerus clausus" w najczystszej formie.

W profesjonalnych studenckich organizacjach podczas wyborów prowadzono w niektórych wyższych zakładach naukowych otwartą agitację przeciw wybieraniu studentów-Żydów do prezydjów tych organizacyj. Rezultatem tej agitacji jest zjawisko, że w szeregu organizacyj kandydatury żydowskie, wystawione przez komunistyczne jaczejki, przepadły, jak np. w Winnickim Instytucie Rolniczym, gdzie nie przeszedł ani jeden Żyd.

Zbadajmy teraz, jaki jest podział słuchaczy w wyższych uczelniach pod względem narodowościowym.

Ażeby dobrze zorjentować się w zagadnieniu, czy słuszne jest utyskiwanie młodzieży akademickiej na zalew uniwersytetów przez Żydów, trzeba przedewszystkiem przypomnieć, że Żydzi na Ukrainie stanowią zaledwie 1,5% całej ludności, a w miastach reprezentują 29,4%.

Statystyka ogólna, dotycząca wszystkich wyższych zakładów naukowych na Ukrainie, wykazuje, że w roku akademickim 1927/28 kształciło się 30,5% słuchaczy pochodzenia robotniczego, 26,0% włościańskiego, 36,6% urzędniczego (aż do woźnych włącznie) oraz 6,9% pochodzenia innego, czyli zawodów wolnych i inteligencji. Liczby te nie dają jednak dokładnego obrazu udziału Żydów w wyższych uczelniach ukraińskich, bowiem są one oparte na podstawach podziału społeczno-zawodowego, a nie narodowościowego. Na szczęście jesteśmy w posiadaniu danych, dotyczących tego ostatniego podziału, a dotyczą one zarówno ogółu słuchaczy wyższych uczelni, jak również poszczególnych z nich. Wykazy te są zupełnie dostateczne dla zilustrowania istotnej przewagi Żydów - akademików i świadczą zarazem o tem, że skargi młodzieży są oparte na zupełnie realnych podstawach, a nie są wypływem jakiegoś chwilowego podrażnienia.

A więc w roku akademickim 1926/27 w Instytucie Oświaty Narodowej w Kijowie było zapisanych 1035 studentów. Z tego na Ukraińców przypada 62,3%, na Żydów 26,5%, na Rosjan 9% i na inne narodowości 2,2%.

Na wydziale robotniczo-włościańskim tegoż Instytutu cyfry odnośne wyglądają w sposób następujący: Ukraińców 70,9%, Żydów 19,5%, Rosjan 6,4% i innych 3,2%.

Przechodząc od statystyki Instytutu Oświaty Narodowej do statystyki naukowych zakładów zawodowych całej Ukrainy, otrzymamy następujące dane. Na ogólną liczbę 162.126 słuchaczów tych zakładów w r. 1927 przypada na:

Ukraińców	84.247	czyli	52%
Żydów	37.790	„	23,2%
Rosjan	35.220	„	21,8%
innych	4.869	„	3%

Jak więc widzimy, ogólna ilość Żydów-studentów na Ukrainie Sowieckiej wynosi 23,2% ogółu słuchaczy, gdy tymczasem ludność żydowska stanowi zaledwie 1,5% ogółu ludności. Przewaga więc elementu żydowskiego na wyższych zakładach naukowych jest niezbita, a uwidoczni się ona jeszcze jaskrawiej, skoro z tablicy poniżej umieszczonej zobaczymy, ilu przypada akademików każdej narodowości na 10.000 mieszkańców tejże narodowości. A więc mamy:

	w zakładach			
	w instytutach	technicznych	w rob. fakultetach	Razem
Ukraińców	6	6,5	2	14,5
Żydów	51	34	6	91
Rosjan	20	17	5	42
Polaków	2,5	8	2	12,5
Niemców	2,5	7	1	10,5

Zupełnie analogiczne zjawisko spotykamy również w szkołach powszechnych, w których słowo Żyd jest słowem najbardziej pogardliwem, a znęcanie się moralne, a nawet i fizyczne, ogółu uczącej się młodzieży nad Żydami staje się objawem coraz częstszym.

Stan taki zmusił czynniki miarodajne do zajęcia się sprawą przeciwdziałania wzrastającemu antysemityzmowi. W pierwszym rzędzie zwrócono się do profesorów z poleceniem wypowiedzenia się w ankiecie o tej palącej sprawie. Wyjątki z niektórych odpowiedzi przytaczamy poniżej.

A więc profesor Krymskij pisze: „Dla mnie antysemityzm był zawsze odpychającem zjawiskiem. Ten punkt widzenia wypowiedziałem jeszcze podczas procesu Bejlisa. Z antysemityzmem trzeba stanowczo walczyć. Ukraińscy uczeni powinni wziąć jaknajczynniejszy udział w kulturalnej rewolucji, będącej zadatkiem, że przykre dziedzictwo przeklętej przeszłości będzie zwalczone". Prof. Korczak Czepurkowskij: „Antysemityzmowi winna być wypowiedziana bezwzględna wojna. Ten, kto pobłażliwie odnosi się do antysemityzmu, ten—chce, czy nie chce—popiera kontrrewolucję". Dr. prawa Otto Szark odpowiada: „Wierzę, że antysemityzm, który ma miejsce w Z. S. R. R., będzie wkrótce wykorzeniony. Wszyscy uczeni i myślący rosyjscy i ukraińscy inteligenci winni pomóc władzy sowieckiej w walce z antysemityzmem". Wreszcie najmniej agitacyjnie, a przez to bodajże najsłuszniej określa zjawisko judofobstwa prof. medycyny Janowskij: „Antysemityzm jest zjawiskiem atawistycznem, przeżytkiem okresu rozwoju człowieka, kiedy pojęcia o współżyciu ludzi miały cechy pierwotne. W podłożu współczesnych zjawisk tego rodzaju jest niezadowolenie danego osobnika do swego życia, przyczem niezadowolenie to, coraz więcej potęgując się, szuka winowajcy, na którym można byłoby wyładować nagromadzone uczucia. Ponieważ w tem postępowaniu dany osobnik nie powoduje się nawet prymitywną logiką, przeto wyładowanie niezadowolenia następuje w stosunku do ludzi, którzy zamieszkują obok, lecz należą do innej rasy, aczkolwiek żyją oni w tych samych warunkach i pracują również ciężko. O wszystkiem tem zapomina się, nie bierze się pod uwagę i doprowadza do bezpodstawnej i głuchej nienawiści. Jedynym środkiem walki z takiem uczuciem jest podniesienie ogólnej kultury wśród ludności".

Oczywiście, iż nikt nie będzie kwestjonował pożytku i celowości tego rodzaju ankiet. Ale byłoby wielkim błędem uleganie złudzeniu, że dzięki ankietom zmniejszy się choć trochę fala antysemityzmu na terenie dzisiejszej Rosji. A zmniejszyć się nie może z tej prostej przyczyny, że źródło antysemityzmu tkwi nietylko w tej „prymitywnej logice", o której mówił prof. Janowskij, lecz również w dzisiejszych warunkach życia gospodarczego i politycznego Sowietów.

W Rosji opowiadają sobie głośno i bez skrępowania anegdotkę o różnicy między między Mojżeszem i Stalinem. Różnica między nimi polegać ma na tem, że pierwszy wyprowadził Żydów z niewoli egipskiej, a drugi — z partji komunistycznej. W anegdocie tej jest pewna część prawdy. Stalin — nie wiadomo: świadomie czy nieświadomie—wziął ostry kurs przeciw Żydom, pozostającym na kierowniczych stanowiskach. Zadanie to ułatwiła mu w dużym stopniu opozycja, w szeregach której przeważnie byli Żydzi. Trocki, Zinowjew, Kamieniew, Rakowski i wielu innych zostali pozbawieni wszelkich stanowisk i nawet wyrzuceni z partji, ale oczywiście nie dlatego, że byli Żydami, lecz dlatego, że byli opozycjonistami. Nie wolno jednak zapominać, że mimo tych rugów w partji istnieje jeszcze z górą 10% członków - Żydów, co oczywiście stoi w rażącej dysproporcji do ogólnej liczby Żydów w kraju, wynoszącej około 1% całej ludności.

Gdybyśmy nawet przyjęli, że istotnie Stalin „wywiódł" Żydów z partji, to jednak nie przeoczajmy tego faktu, że rewolucja komunistyczna—przez wprowadzenie zasady monopolu handlu wewnętrznego i zagranicznego i przez zadanie śmiertelnego ciosu handlowi prywatnemu — podcięła faktycznie podstawy materjalne Żydów, lwia część których zajmowała się właśnie handlem. Pozbawieni swych dotychczasowych warsztatów pracy i źródeł zarobku musieli oni rzucić się w pierwszym rzędzie na posady państwowe, a dzięki swej przesiębiorczości i energji wysunęli się na czoło całej administracji i wodzą w niej rej niepodzielnie. Żydzi, siedząc na posadach państwowych i wykonywając postanowienia partji, zazwyczaj bardzo surowe w stosunku do ludności, narażają się w pierwszym rzędzie na jej nienawiść.

Wszelkie więc ankiety i enuncjacje, jakkolwiek byłyby one słuszne i głębokie, nie znajdują i nie mogą znaleźć oddźwięku w szerokich masach ludności, które żyją nie od dziś zresztą w przeświadczeniu, że cały ciężar rządów bolszewickich jest tylko wynikiem dojścia do władzy Żydów. Nic więc dziwnego, iż ci ostatni przeczuwają, że w wypadku wojny lub też jakiegokolwiek przewrotu w Rosji, staną się oni pierwszą ofiarą nienawiści tubylczej ludności.

m. p.

ŻYCIE GOSPODARCZE

P. Dewey o sytuacji gospodarczej Polski

(Na marginesie sprawozdania doradcy finansowego rządu Rzplitej)

Członek zagraniczny Rady Banku Polskiego oraz doradca finansowy rządu p. Charles S. Dewey opublikował (w języku polskim i angielskim) już dwa swoje sprawozdania kwartalne, przewidziane w planie stabilizacyjnem. Zadaniem tych sprawozdań jest przedewszystkiem poinformowanie o postępach wykonania planu stabilizacyjnego w poszególnych jego punktach, oraz o sprawach, dotyczących obsługi pożyczki stabilizacyjnej. Jednocześnie jednak p. Dewey daje w swych sprawozdaniach „zarys sytuacji ogólnej w Polsce, t. j. sytuacji kredytowej i stosunków gospodarczych". „Obraz położenia gospodarczego — pisze p. Dewey we wstępie do swego pierwszego raportu — będzie przedstawiony z jaknajwiększą szczerością". Dlatego też zapewne, że obraz p. Dewey'a jest szczery i objektywny, różni się on całkowicie od obrazu, jaki malują publicyści z „wysepki moralności" na łamach „Gazety Porannej Warszawskiej". I zapewne dziwi się ten amerykanin, jak to można tak łatwo fałszować rzeczywistość dla partyjnych celów, naginać ją raz w tę, drugi raz w inną stronę, byle tylko odpowiednio urobić opinję coraz bardziej rzednących zastępów swych zwolenników, nie bacząc nawet na to, że dostarcza się w ten sposób żeru dla wrogich organów prasy zagranicznej. A co najdziwniejsze, że to się nazywa moralnością.

Omawiając szczegółowo wykonanie planu stabilizacyjnego, p. Dewey stwierdza, że „plan jako całość jest już zupełnie wprowadzony w życie i działa sprawnie". Z pożyczki stabilizacyjnej wydatkowano do dn. 31 marca r. b. 290 miljn. zł, pozostawało zaś jeszcze w tym dniu na rachunku w Banku Polskim 260 miljn. zł (rezerwa skarbowa — 75 miljn., na konwersję biletów zdawkowych na monety srebrne — 90 miljn., na kredyt długoterminowy — w lwiej części dla przedsiębiorstw państwowych — 95 miljn.). Dochody z ceł, zabezpieczające obsługę pożyczki stabilizacyjnej, wpływały regularnie na rachunek ajentów fiskalnych, przewyższając sumy, potrzebne na obsługę pożyczki, 5 — 6-krotnie.

O sytuacji gospodarcej p. Dewey mówi, że rok 1927 „wykazuje bardzo znaczną poprawę w porównaniu z latami poprzedniemi, kiedy życie gospodarcze cierpiało z powodu spadku waluty oraz *z innych przyczyn. Rok 1927 był rzeczywiście na ogół najpomyślniejszym rokiem po wojnie". Wybitna poprawa warunków gospodarczych w Polsce od połowy r. 1926* odzwierciadlała przedewszystkiem powrót do warunków normalnych po przebytej ciężkiej depresji. Dlatego też jest objawem zupełnie naturalnym, że po odzyskaniu straconych sił tempo rozwoju zostało zwolnione (mowa tu o początku r. 1928). Poza tem w Polsce zimą zwykle można zauważyć pewne zwolnienie tempa. Pamiętając o tych okolicznościach, można stwierdzić, że *położenie przemysłu i handlu w Polsce przedstawiało się w ostatnich miesiącach bardzo korzystnie*". (Można sobie wyobrazić, jak— czytając to—zzielenieli publicyści z „wysepki moralności").

Omawiając szczegóły sytuacji gospodarczej, p. Dewey podkreśla, że wytwórczość rolnicza w Polsce, osiągnęła w zupełności poziom przedwojenny i rokuje dalszy rozwój. Za najlepszy wskaźnik ogólnej produkcji przemysłowej p. Dewey uważa liczbę wagonów przewiezionych przez koleje państwowe. W roku 1927 liczba ta była o 12% wyższa niż w 1926 r., przyczem wagonów w ruchu wewnętrznym przewieziono w r. 1925 o 25% więcej niż w 1926 r. Również początek 1928 r. wykazuje wzrost przewozów w stosunku do poprzednich miesięcy 1927 r., nie mówiąc już o 1926 r. Liczba robotników, zatrudnionych w przemyśle przewozowym, górnictwie i hutnictwie, była w 1927 r. przeciętnie o 20% wyższa niż w 1926 r, liczba zaś bezrobotnych o 30% niższa. Również liczby produkcji wykazują wybitny rozwój przemysłu; zwłaszcza uderza wzrost wydobycia węgla (mimo, że specjalnie korzystna konjunktura 1926 r. już w 1927 r. nie miała miejsca), wzrost wydobycia rudy, ogromną zwyżkę działalności hut żelaznych, przemysłu nawozów sztucznych i t. d

Co do cen, to p. Dewey stwierdza, że. ogólny poziom cen w Polsce z małemi wyjątkami nie wahał się prawie zupełnie w ciągu mniej więcej roku; „jest on, zdaje się, ustalony w związku z nową prawną jednostką pieniężną". Jednym z dowodów wzmożonego zaufania społeczeństwa do stałości waluty jest — według p. Dewey'a — wybitne zwiększanie się obiegu pieniężnego w ostatnich dwóch latach, które jednakże nie wywołało odpowiedniej zwyżki cen (od marca 1926 r. do marca 1927 r. obieg wzrósł o 30%, a ceny tylko o 3$^1/_2$%). Wzrost obiegu nie ma (jak chcą niektórzy ekonomiści z organu p. Seydy) charakteru inflacyjnego; wywołało go wzmocnienie się wytwórczości i handlu z jednej strony, oraz zmniejszenie się szybkości obrotu pieniądza (większe zaufanie) — z drugiej.

W sprawie bilansu handlowego, z którego pasywności „Gazeta Poranna Warszawska" raduje się największemi i najtłustszemi czcionkami, p. Dewey stwierdza, że wzrost przywozu, który jest przyczyną pasywności bilansu, został spowodowany w znacznej części zwiększeniem przywozu niezbędnych surowców, maszyn i narzędzi. Duża nadwyżka przywozu w 1927 r. i początku 1928 r. różni się od poprzedniego okresu nadwyżki przywozu w latach 1924 i 1925 tem, że obecny przywóz wykazuje wybitne zmniejszenie się towarów konsumcyjnych, a zwiększenie się surowców i maszyn.

„Jest rzeczą zupełnie naturalną — pisze p. Dewey—że Polska, której majątek zmniejszył się poważnie wskutek wojny, uważa za wzkazane szukać za granicą kapitałów w celu pomocy w odbudowie i uzdrowieniu gospodarczem. *Zaciąganie za granicą pożyczek przyczynia się do wzmożenia przywozu towarów, a z drugiej strony umożliwia trwanie zwiększonego przywozu*".

„Dopóki fundusze, otrzymywane z za granicy, będą użyte na cele produkcyjne, pożyczki w rozmiarach racjonalnych i przy niezbyt wysokich stawkach są uzasadnione. Rzecz prosta, dążeniem Polski powinno być popieranie wywozu oraz zaniechanie przywozu towarów zbytku".

Analizująct projek budżetu na rok 1928/29, p. Dewey podkreśla ostrożnie preliminowanie dochodów, co do wydatków zaś stwierdza—wbrew opinji autorytetów z „wysepki moralności" — że w budżecie na rok 1928/29 zostały przeznaczone bardzo znaczne sumy na stałe inwestycje, które mają być wykonane z dochodów bieżących. P. Dewey oblicza inwestycje, przewidziane w budżecie, na 490 miljn. zł. Biorąc jeszcze pod uwagę kredyty nadzwyczajnego budżetu inwestycyjnego, można stwierdzić, że „Polska zamierza wprowadzić w roku 1928/29 trwałe ulepszenia i uzupełnienia majątku państwowego na sumę ponad 60 miljn. dolarów". „Koszty budowy są znacznie niższe w Polsce niż w Ameryce *i suma powyższa wystarczy na bardzo znaczne rozszerzenie urządzeń Państwa i jego przedsiębiorstw*".

Wkońcu p. Dewey zwraca uwagę, że w budżecie, poza inwestycjami majątkowemi, są preliminowane znaczne sumy na zmniejszenie długu państwowego, co przyczyni się do wzrostu czystego majątku Państwa.

W. Sz.

CENA OGŁOSZEŃ:

Nadesłane (1 strona)	zł. 600.—
1 strona zwykłe	„ 400.—
1/2 „	„ 220.—
1/4 „	„ 120.—
1/8 „	„ 60.—

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, Nowy Świat 21, tel. 258-53.
Konto P. K. O. — 13.044

CENA PRENUMERATY:

Rocznie	zł. 12.—
Półrocznie	„ 6.—
Kwartalnie	„ 3.—

Nakładem Związku Naprawy Rzeczypospolitej — Pod redakcją *Jerzego Szuriga* — Redaktor odp.: *Marjan Brasse*

Drukarnia Leona Nowaka, Warszawa, Warecka 12.